

# grisaille jacek gutorow

Światło było ostrożniejsze
Układało się w filary i przęsla
Ponad skończoną taflą ciszy

A jeszcze przed chwilą zbiegali
Po kamiennych popękanych schodach
W każdym stopniu zawarta cała skala

I było więcej dźwięku niż przestrzeni
I nigdy nie docierało się do centrum
 Nawet idąc wstecz po własnych śladach

Fala

Jak piękne słowo, które zakorzenia się w głębi wód.
Jak człowiek, który nurkuje z sercem ciężkim od detali snu, aby potem pisać listy w noc.
Jak roztaje za ogrodem, zakręć, a potem wążów porośnięty trawą i mleczami, zapadający w pamięć powoli, warstwa osiadająca na warstwie, kurz popołudnia i gwiazd, zamykające się kręgi dnia.
Jak parowiec sunący przez pewne stare fotografie.
Jak rozbity wazon, ruiny światła, destylat wczesnych godzin.
Jak tłuczeń pod stopami odkrywców, powidok kobiety skulonej w fotelu, cień dwojga ramion.
Jak puste miejsce po czymś, co nie daje się ogarnąć.
Jak kamień padający w sam środek, w sen tej kobiety, która rano jak zwykle będzie stała na balkonie gapiąc się tępo na monotonne morze.

**Pianista**

*Władysławowi Szpilmanowi za pewne wykonania*

Niebo pokrojone na niebieskie prostokąty
tysięcy okien. On wstaje i unosi się
kurzawa refleksów jakby w tajnej misji.

Kim będziesz, przyjacielu, gdy wybrzmi ostatnia nuta, a klucz wiolinowy zapłacze się w znak zapytania?
Gamy

okien, pełna klawiatura popołudnia, kawa stygnąca w filiżance.
Być może kiedyś wejdziemy w arpeggio innego lata, sezonu

zielonych wzgórz i jasnozielonych stawów;
być może kadencje nocy rozkołyszą nasze ciała tak, iż pozostaną jedynie

bemole i krzyżyki namiętności, pasji rąk i ust.
Lub być może czarne słońce wszędzie na białym niebie, a anioł tej kompozycji

odłoży trąbę, usiądzie w najciemniejszym kącie pokoju i sprawi, że będziemy tylko patrzeć na siebie i słuchać.

**Wczesny Auden**

Albo inny kadr: przez zielone szkło
niebo jakby bliższe, gładko przylizane i z kry.
Wewnątrz poruszenia, ten jeden jedyny raz,
kiedy spektrum

wycina ze słów inne sensy.
Hałas jest przeraźliwy, to stopnie akustycznego piekła.
Nic nie rozumiem, powiedziała i zamknęła drzwi.

A zatem znowu nic.
Ot, pusta sfera.
Tylko odgłosy.

Butelki spadają po schodach.

*Jacek Gutorow - ur. w 1970 r. Poeta, krytyk literacki, tłumacz. Autor książek poetyckich: „Wiersze pod nieobecność” (Wrocław 1997), „Aurora” (Łódź 2001) i „X” (Legnica 2001). Mieszka w Opolu.*

**Ten wiersz**

który ja piszę, a Ty czytasz
gdzieś w innym zakątku czasoprzestrzeni.
Ten wiersz, który czyta część mnie,
kiedy druga część mozolnie pisze.
Ten wiersz zmyje pierwsza wysoka fala,
która w oddali formuje już szyki.
Stado Żurawi, złamana gałązka jałowca,
skórka cytryny;
przez szczeliny tego wiersza przecieka sens,
którego nigdy nie pojme.
Spójrz, jak woda uderza o brzeg.
W tym wierszu tego nie ma,
jest tylko oddalające się echo głosów,
dystans otwarty nagle w nas samych,
na przestrzał, jak pusta róża wiatrów.
Ten wiersz to martwe skorupy, przydymione klisze,
popiół po wielkim ognisku.
Spójrz, jak woda uderza o brzeg,
zaraz za podszewką słów, o milimetr od tutaj i teraz.
Widzisz?
To może oślepić, choć jest zamknięte w lochach liter.
Wchodzisz?
*Rien ne va plus.*
Nic dziś już nie, czytelniku,
jedynie cytaty, plamy wybite na rewersie nieba.

**Grisaille**

Zawsze ten kamienny wiatr
wypełniający całą przestrzeń
jak gdyby szukał jakiejś ostatecznej sylaby.

Widział go Giotto, porwany został Mantegna:
huragan jak żyłkowany marmur pęknięte powietrze.

Sceny przemycane w księżycowym świetle.
Gesty zastygłe, uśpione, wyjęte z ram czasu.
Dziwaczne piękno, skazane na siebie i tajemnicę swego pochodzenia.

**Sonet aluzyjny (V)**

*N.N.*

Maska odstaje od twarzy i tak jest
nawet wygodniej, można robić minę i krzyczeć.
W tym krzyku jest coś mechanicznego,
jakaś taka nakręcana

zagwozdka. Podaje mu się szklankę, a on mówi,
lub mówi w nim ten drugi, któremu mówić od siebie nie wypada:
cwaniaczek. I nic więcej, bo tak jest

lepiej, bez zbędnych zaskoczeń i całej tej stratygrafii głosu.
Zapalić papierosa i wyrzcić przez okno na resztki miasta

i już.
Maska odkleja się od twarzy i powoli opada spiralnie do wewnątrz
wytracając prędkość na kolejnych kręgach duszy.

**Pająk i mucha**

Zacznijmy jeszcze raz, powiedziała mucha.
Dobrze, niespodziewanie odparł pająk i zniknął.
Przez kilka dni odbywała się krecia robota:
mucha na powrót stawiała się sobą, łączyła i sklejała, nabierała formy.
W pewnej chwili, gdy na dobre poczuła się sobą,
delikatnie odskoczyła od sieci,
jakby to była trampolina.
Poczuła wolność, wiatr.
Leciała ku światłu - wiedziała teraz, że inaczej nie można.
Pławiła się w blasku;
lot przemienił się w beztroski dryf.
Potem poczuła, że światło jest lepkie.
Nie stawiała oporu, wiedziała.
Ach tak, moje ty oślepiające bagienko, ach tak.
W pewnym momencie wydało się jej, że po drugiej stronie
słyszać świszczący oddech pająka.
Ale teraz, pomyślała mucha, światło odbierze mi głos.

**Raoul Dufy**

Najpierw kładł na płótno plachty błękitów: szafiry, granaty, lazury, indygo.
Jak gdyby powietrze kładło makijaż na nieobecną twarz.
Potem zjawiały się detale: żagle, światła zatoki, chorągiewki, odległe wzgórza, refleksy fal.
Na jednym z autoportretów wygląda na pewnego siebie.
Starał się nie imitować przyjaciół fowistów (nazwanych tak po III Salonie Jesiennym; *la cage aux fauves* - „klatka dzikich bestii” - tak opisano salę, w której swoje obrazy wystawili Derain, Matisse, Vlaminck i inni).
Daleko mu było do kapryśnych kubistów.
Przeznaczenie umieściło go gdzieś w niebieskim pudełku, w porcie lub na wzgórzu,
na chwilę przed zmierzchem, kiedy rozplywa się konstrukcja dnia.
Ale przeznaczenie jest mało optycalne: musiał dorabiać wykonując ilustracje do książek i wzory tkanin.
Wkrótce ceniony był jako dekorator, potrafił zamienić nudny bulwar w serce fiesty.

Kim naprawdę był?
Widzę go na kilka dni przed śmiercią, w Forcalquier,
patrzącego przez okno na лазur poranka:
nieprzetłumaczalny, nie dający się przenieść na płótno.
(Ktoś napisał, że jego śmierć była niczym „rozdarcie w tęczy”).
Potem były odległe światła.
Niebo jakby narzucone na pusty kształt.
Widywał czasem podobne sceny w parku,
gdzie dziewczynki malowały kredą na asfalcie domy i drzewa.
Jaki kolor ma wtedy niebo?
Och, Dufy, gdybym mógł cię spotkać, miałbyś na ten temat coś do powiedzenia.
Nie byleś wierny w stosunku do rzeczywistości,
lecz znałeś się na planach i oddieniach.
Na przykład „Przestrojony statek”:
zawieszone wzdłuż masztów pióropusze bander
stają się drobnymi znakami.
Woda próbuje nadążyć za pędzlem.
Kołysanie przestrzeni.
Tamte nieba wyrwane są z godzin i pór,
nie mają głębi, tylko nieostrą powierzchnię.
Wiatr jest dotykalny.
Krople lądują na liściach.
Deszcz zmywa kredę i pozostawia szarosiną otchłań.

**Epitalium**

Kobieta siedzi na wprost mnie.
Patrzy na mnie uważnie, tak jakby mnie nie widziała.
Światło słońca pada z prawej strony.
Okno jest zamknięte.
Plamy, pręgi, rozmazane esy-floresy.
A przy tym znakomita widoczność, absolutna ostrość widzenia.
Nic nie umyka, każda myśl zamknięta bezpiecznie jak w seffie.
Układ wydaje się doskonały:
bez podpowiedzi suflera, bez słów na stronie.
Dźwięk rzucony w powietrze powróciłby po zatoczeniu idealnie doskonałego koła,
nie pozostawiając nawet miejsca dla echa.
(Może to tylko wewnętrzne koło naszego marzenia?)
Potem kobieta odwraca głowę.
Patrzy prosto w słońce, bez zmruczenia powiek,
uważnie, tak jakby nic nie widziała.